



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DO RODZINNEJ STRZECHY.



trzecho ma nizka, domowe ściany,
Wick was brzemieniem do ziemi gniecie,
Niebawem runie wzrąb już zachwiany,
I wiatr rozniesie szczątki po świetle.

I nie zostanie śladu istnienia
Miejsc, gdzie pocziwie, wśród cichéj zgody,
Przeżyły w Bogu dwa pokolenia,
Jak zdroj przepływa krynicznej wody.

Każde z osobna spłaciło Bogu,
Gorzką daninę łez i niedoli,
Czerpiąc pociechę w domowym progu,
Orząc pocziwie zagon swój roli.

Wiecznie dla gościa otwarte wrota,
Czasem przelotnej chwile uciechy,
Obok zewnętrznych gromów żywota,
To krótkie dzieje ubogiej strzechy.

A jednak święty progu domowy,
Gdy ciebie zaknę miłości siłą,
Tajemniczemi szepczesz mi słowy.
O tych, co zdawna śnią pod mogiłą.

W senném marzeniu, jakby przez czary,
Ty mi odtwarzasz postać ich żywo,
Wpłatasz mi wiernie w wątek dni szary,
Domowych podań złote przedziwo!

I zapomniane pieśni ich tony,
Kołyszą serce w cichéj żałobie;
O! progu ojców błogosławiony,
Moc cudotwórczą Bóg złożył w tobie!

Lecz ciebie robak pomału toczy,
Już na ognisku braknie płomienia,
A ja lżą rzewną zalewam oczy,
Patrząc na smutne ślady zniszczenia.

Daremne trudy, daremne żale,
Runie, co z ziemi początek wzięło,
Z jękiem rozniosą powietrzne fale
Pocziwych ojców pobożne dzieło.

O! czyż przynajmniej Bóg mi dozwoli,
Nim ducha zwątlą zimowe słoty,
Uczcić serdeczną pieśnią niedoli
Próg mój domowy i ojców cnoty.

Seweryna Duchńska.

KSIEGA PAMIĘTYCH CZYNÓW.

Szlusnie moglibyśmy się zawsze chlubić dzielniemi i cnotliwemi niewiastami. Imiona ich długim szeregiem zapisał kościół w poczet Świętych, historia w poczet znakomych. Nie ledwie do jednych i drugich zaliczyć można Maryą Leszczyńską, urodzoną 1703 r. w Poznaniu, a zaślubioną w 1727 Ludwikowi XV-mu młodemu, bo zaledwie piętnaście lat liczącemu, królowi francuskiemu.

Historia Maryi Leszczyńskiej tak jest znana, że zbyt cennym byłoby ją tu przytaczać, wypisuję tylko list jej do ojea, w kilka dni po przyjeździe do Francji pisany. Otożona świetnym dworem, psuta pochlebstwami, przyjmowana z wspaniałością, jaką oznaczał się dwór Wersalski, ani na chwilę nie dała opanować się próżności, nie zapomniała, że nad wszystkie dostojeństwa najwyższą jest cześć, jaką się winno swej duszy. List jej tak brzmi.

„Kochany ojcze! Jakże już dawno upłynęło onegdaj, i jakże już dawno nie mówiłam ci ni słówka! Francuzi robią wszystko, co mogą, żeby mnie rozerwać i oszczędzić mi nudów. Prawią mi przesłiczne rzeczy; nikt mi tylko nie mówi, że ty jesteś przy mnie! Może mi wkrótce i to oznajmią, bo odbywam podróż w krainie marzeń i jestem prawdziwie pod wpływem różczki czarodziejskiej. Co chwila przeobrażam się w jak najświetniejsze postacie. Raz bywam piękniejszą niż gracye, drugi raz należę do dziewięciu muz, tu we mnie widzą nadludzkie cnoty, tam jednym spojrzeniem uszczęśliwiam bliźnich; wczoraj byłam ósmym cudem świata, dziś jestem świetną gwiazdą. Każdy się sadzi na to, żeby mnie ubóstwić i jutro zapewne umieszczą mnie w kole nieśmiertelnych. Chcąc przeciąć złudzenie, kładę rękę na moją głowę, i spotykam nie gwiazdę, muzę i boginię, ale tę, którą kochasz i która cię kocha nawzajem, to jest twoją ukochaną Marychnę”.

Czyż to nie śliczna i ślicznie wypowiedziana myśl? Żeby się otrząsnąć z pochlebstw, które jej serce popsuć a duszę splamić mogły, kładła rękę na głowie, bo tam czuła jeszcze krzyż błogosławieństwa, nakreślony przy pożegnaniu przez kochającą, rodzicielską rękę, i to broniło ją od pokus, jakie jej zewsząd groziły.

Niektore z was, kochane czytelniczki, także już czasem mogły doznać, jak miłem jest pochlebne słówko. Może i was kiedyś otoczą hołdami, zowiąc królową wdzięków i piękności. Wtedy przypominajcie sobie tę, co tak szlachetnie majestat swój pojmowała, i królujcie ukochanym, ale niech najpiękniejszym kwiatem waszej korony będzie skromność, z chrześcijańskiej wypływająca pokory.

Z. B.

Młoda podróżniczka w Ojcowie

Z LISTÓW KOCI DO KAZIA,
przepisała **Zofia Grabkowska.**

(Dokończenie).

Do cenniejszych zabytków ocalonych z zagłady należy wielki ołtarz, pięknie z drzewa rzeźbiony, połączony i tryptyk szkoły niemieckiej XV w. dar podobno Lanckorońskiego, marszałka w. kor. W jednej z pobocznych naw wznosi się wspaniały pomnik jednego z dobrodziejów kościoła, Spytka Jordana, rzeźba z XVI w.

Cudami tu słyną dwa obrazy: Jeden Matki Bożkiej Pocieszenia, znajdujący się w kaplicy bocznej, drugi obraz Pana Jezusa w krążanku kościelnym. Przed tym ostatnim pali się zawsze mnóstwo świec, stawianych tu przez pobożnych, a oprowadzający nas kapelan miejscowy opowiadał nam legendę przywiązaną do niego.

Kiedyś, przed wiekami, pobożny jeden górnik w Wicliczce miał szczególne nabożeństwo do tego obrazu i ile razy tylko był w Krakowie, tyle razy świece tu stawiał i jałmużnę ubogim dawał. W jakiś czas, wskutek nieszczęśliwego wypadku, górnik ten został zasypany w kopalni, a żona jego, choć całkiem straciła nadzieję odzyskania go i pogodziła się w końcu ze śmiercią męża, pamiętając jednak o jego nabożeństwie, światło przed obrazem tym zawsze stawiała. W rok potem przypadek pozwolił pracującym górnikom, odkopać żywcem zagrzebanego. Zył jeszcze zdrów zupełnie i zeznał, że przez cały ten czas, co przeżył w podziemiach zasypany, widział przed sobą obraz Chrystusa z palącemi się świecami przed nim i że tenże Chrystus co dzień mu bułkę chleba z przed ołtarza dawał.

Na trzech tych kościołach ograniczyliśmy wędrowkę naszą dziś po mieście. Trzeba było iść jeszcze na obiad, bo głód nam dokuczał dotkliwie, a potem, wypocząwszy trochę w hotelu, pojechalśmy zwiedzić kopiec Kościuszki, leżący za miastem wśród fortyfikacyj. Chcąc się na wierzchołek dostać, trzeba przejść przez maleńki kościółek św. Bronisławy i po wygodnych kamiennych schodkach wyjść do podnóża jego, a z tamtąd kręta ścieżka prowadzi na szczyt. Siedzi tu zawsze na straży jakiś stary inwalida, utrzymujący się z datków zwiedzających. Na szczycie kopca leży bryła z granitu na podstawie, na niej wyrte skromne słowa: „Tadeuszowi Kościuszce”. Śliczny widok rozciąga się ztąd. Kraków i jego okolice, zanurzone w zieleni drzew i łąk, rozpięte leżą u stóp, a na najdalszych krańcach widnokregu rysują się sine Karpaty, głowy gubiąc w chmurach. Niepodobna było jednak długo tam stać, bo masa drobnych i upartych much tak nam dokuczała, że zmusiła do najprędszego odwrotu.

Staruszek żołnierz inwalid, stróż tych miejsc, objaśnił nas, że te owady, to niechybny znak deszczu. Dwadzieścia cztery lata i dwa miesiące pilnuje on już kopca, na noc tylko wracając do fortów, gdzie ma mieszkanie w podziemiach. Co dzień ta sama wędrowka z wyżyn kopca do wnętrza ziemi! Kuzynka Jadwiga objawiła mu swój żal, że niema tu już teraz jak dawniej żadnych kwiatków, by zabrać je jako pamiątkę z tych miejsc i po chwili zrobiło się nam wszystkim niewypowiedzianie przykro.

— Nie ma żadnych kwiatków! — wyrzekł z goryczą i lżą w oku stary wiarus — Mój Boże! ja z tej pustki własnymi rękami co tylko mogłem zrobiłem, a pani mówi, że nie ma kwiatków. Znajdą się jeszcze, znajdą, niech się pani nie boi.

I po chwili z budki swojej wyniósł śliczną wiązanke róż białych, pensowych i nieśmiertelników i rozdzielił między nas starannie.

Zawstydziliśmy się ogromnie, bo rzeczywiście dopiero teraz spostrzegłyśmy miniaturowe ogródki w około, z malw

i róż. Dalej bzy, jaśminy i wiciokrzew okalały podnóże kopca, a wszystko to było robotą biedaka schorowanego, któregośmy posadzeniem „że nie ma kwiatków” tak boleśnie dotknęli.

Staraliśmy się też wynagrodzić mu to dobrem słowem i datkiem, a pożegnawszy się z nim serdecznie, wróciliśmy do miasta, gdzie nas jeszcze wieczorem czekał teatr. W tej chwili towarzyszy mi już śpią, a ja, mimo znużenia, staram się jak mogę, zapisać wrażenia, drugiego dnia spędzonego w Krakowie, dla przyjaciela Kazia.

XII.

Dzisiaj wędrowka nasza rozpoczęła się znów od kościołów, bo jakże to nie zwiedzić malutkiego kościółka Św. Wojciecha, który pierwotnie był świątynią pogańską, a później dopiero ze składek tutejszych mieszkańców w IX w. na nowo odbudowany został i poświęcony pamięci tego świętego, dla uczczenia jego śmierci męczennickiej. Jestto jeden z najstarszych domów Bożych w Polsce, wzniesiony na miejscu, gdzie przed dziewięciu blisko wiekami apostoł ten głosił Krakowiakom słowo Boże i nauczał pieśni „Boga Rodzica”.

Ztąd znów zaledwie tylko kilkadziesiąt kroków od kościółka św. Barbary, który sięga XIII w., a wystawiony był podobno dobrowolnie i bez żadnego wynagrodzenia przez robotników, budujących kościół Maryacki. W kaplicy tutejszej jest piękna figura Matki Bolesnej, trzymająca na łonie syna swego zmarłego, a wyrzeźbiona z jednego kamienia.

Myśl o Ojcowie, do którego dziś nad wieczorem miałyśmy wracać, przypominała nam, że w tutejszym kościele Franciszkanów spoczywają zwłoki św. Salomei, która żyła i umarła w Grodzisku. Liczne pożary, wojny szwedzkie, zniszczyły wielokrotnie i zmieniły pierwotną budowę tego miejsca, ślady ognia są dziś jeszcze widoczne na pomnikach i ścianach w jednej z tutejszych kaplic, gdzie w głównym ołtarzu, jest bardzo piękny obraz Matki Bolesnej. W drugiej znów spoczywają na ołtarzu błogosławione szczątki królowej halickiej, w maleńkiej trumience.

Kiedyś były tu przesłiczne stale z hebanu i perłową masą rzeźbione, nad niemi blachy miedziane, olejno malowane, przedstawiały życie św. Franciszka z Asyżu i św. Antoniego Padewskiego, ale te, jak i również dawny ołtarz z czerwonego marmuru, stały się pastwą płomieni.

Ogromne straty złowrogi ten żywioł zadał i pięknej świątyni Ojców Dominikanów, w stylu gotyckim budowanej. Niszczona dawniej kilkakrotnie, po pożarze 1850 r. musiała być z gruntu ze składek przerobiona, zostały bowiem tylko mury i część sklepień. I tu również spaliły się przepyszne stale, przedstawiające życie św. Dominika i Jacka.

Cennymi pamiątkami dla nas są tu: prochy Iwana Odrowąża, fundatora, relikwie św. Jacka, którego grób znajduje się w górnej kaplicy na piętrze, i wielu innych świętych, nagrobek brązowy Kalimacha, nauczyciela dzieci Kazimierza Jagiellończyka, kamień poświęcony pamięci Artura Grottgiera, pomniki znakomitych Polaków i różne dary królów, jako to: relikwiarz z głową św. Jacka, założyciela zakonu Dominikanów w Polsce, monstrancya z częścią krzyża świętego, dar Władysława IV i Cecyli Renaty, aparaty kościelne, ofiarowane przez cesarową Maryą Teresę i wiele innych rzeczy.

Jeżeli cię znudziłam, Kochany Kaziu, tym pobieżnym dla mnie, a może dla ciebie zbyt drobiazgowym opisem krakowskich kościołów, daruję, że musisz iść za mną dalej jeszcze aż do kościoła św. Piotra i Pawła, przed którym olbrzymie posągi dwunastu apostołów straż trzymają. Nie każe ci tu już za to, podziwiać pięknej budowy w stylu renesansu, nie wymienię relikwii, kaplic, obrazów, ale musisz, koniecznie, musisz iść tu i przed skromną marmurową tablicą z portretem zgiąć kolano. To grób Skargi, wielkiego mędrca i kazańdźci, tego jasnego świecznika, nauczyciela i proroka narodu, którego współcześni Złotostym zwali!

Ztamtąd, gdzie cię poprowadzę? Chyba do wszechnicy Jagiellońskiej, bo czemkolwiekbyś się już teraz nie zadowolnił. Gdybym była choć odrobinę uczoną, próbowałabym ci opisać ten piękny, stary gmach z krużgankami w koło, który przeznaczenie swe zawdzięcza królowej Jadwidze, dalej te olbrzymie sale, pełne ksiąg starych i nowożytnych, zbiory numizmatów, medalów, pamiątek po królach i znakomitych ludziach. Cóż poradzę. Suszę nadaremnie głowę i nie, ale to nic z niej wycisnąć nie mogę. Widziałas, a nie potrafisz opisać? powiesz zgorszony, szanowny sensacie. Tak niestety! widziałam tyle pięknych rzeczy, nawet księgę Twardowskiego z czarną plamą. Wspaniałe księgi pisane i malowane na pergaminie, arcydzieła pracowitości i cierpliwości, nie które z nich sięgają jeszcze XIII w., czytałam listy królewskie i mimo tego, przyjacielu Kaziu! opisać tego nie potrafię. Zejdź więc już za mną lepiej do przedsionka kolegium, gdzie w jednym pokoiku mieści się kapliczka Jana Kantego, patrona uczącej się młodzieży, kiedyś rektora uniwersytetu, a w drugim gdzie umarł ten uczony, pobożny mąż, ten wielki miłośnik prawdy, stoi na podniesieniu wśród mnóstwa świeżych kwiatów posąg jego w postaci klęczącej, na pamiątkę, że zamodlony umarł. W głębi widać trumnę, w której przez 300 lat ciało świętego spoczywało i krzesło jego, na którym chorych sadzają.

Byłam już tak tym zwiedzaniem znużoną, że prawie pobieżnie zwiedziłam, Muzeum narodowe, choć tam piękne obrazy, a szczególnie „*Hold Pruski*” i „*Świeczniki Chrześcijaństwa*”, przykuwają do siebie myśl i serce widza. A poza tym, co tam pamiątek i pięknych zbiorów! jedna sala przeznaczona wyłącznie na pamiątki po Adamie Mickiewiczu. Najwięcej złożył ich tu syn jego Władysław. Widzieć tu możesz i niezliczoną ilość jego portretów, listy jego, fotografie miejsc przez niego ukochanych, lub zwiedzanych, promienie włosów i wiele innych rzeczy, a nawet i kapciuch od tytułu tu się znalazł.

Ztamtąd poszliśmy na wystawę obrazów. Gdybym była mniej zmęczona, byłoby wszystko lepiej, ale płatki ciemne latały mi przed oczyma i mgła wszystko zasłusowała. Musiałam źle wyglądać, kiedy starszek, oprowadzający nas w mieszkaniu św. Jana Kantego, kazał mi usiąść na jego krzesło.

— Pani to potrzebne — mówił, patrząc na mnie ze współczuciem. A tu jeszcze tyle do zwiedzenia! myślałam prawie z rozpaczą, wszyscyśmy pomęczeni okropnie, a czasu tak mało.

Złożyliśmy walną naradę i jednogłośnie urządzono, że tylko dwa muzea zwiedzić jeszcze trzeba koniecznie t. j. *Muzeum ksiąg Czarłortyckich* i *Muzrum Umiejętności*. Do bywszy więc resztek sił idziemy do pierwszego... zamknięte, i czy kiedy będziemy mieli sposobność go widzieć, Bóg to wie czy wiedzieć.

W drugim nam się lepiej poszczęściło. Znaleźliśmy tam przy pracy siedzącego jakiegoś uczzonego, który chętnie podjął się być naszym przewodnikiem. Za az przy wejściu powitał nas olbrzymi posąg bożka Światowida, znaleziony niedawno w rzece Zbruczu w Galicyi, w dalszych salach różne wykopaliska, niektóre z grot Ojcowa, urny, ozdoby starożytne z brązu, płaszcz kacyka Australijskiego, peruwiańskie wyroby, czaszki ludzi, małp i t. p. A wśród tych różnych zbiorów stoją szachy Skirmuntów, a nawet w kacie i ołtarz, mie dwa katowskie miecze. Jeden przeznaczony dla mieszczan, drugi dla szlachty i tym, który tu jest, święto właśnie Samuela Zborowskiego. Oprócz tego mnóstwo pamiątek czysto polskich, których nie zliczę, a tembardziej nie spiszę.

Wstąpiwszy do domu na obiad do hotelu, zastaliśmy już czekającego na nas gospodarza ze Smardzewic. Wyprosiłam sobie u niego jeszcze godzinkę czasu i podczas gdy ciocia i kuzynki poszły kupować zapasy na drogę do Ojcowa, ja pod opieką pana G. pojechałam zwiedzić słiczny ogród botaniczny, którego dyrektorem jest sympatyczny i znakomity profesor i botanik J. Rostański.

Widziałam ogród ten tylko bardzo pobieżnie, słiczny jest i bardzo starannie utrzymany. Później już pozwałała

na wystawienie kosztownych podzwrotnikowych roślin: palm, dracen, muz, paproci różnych, że to jednak były rzeczy dobre mi znane, nie zatrzymywałam się przy nich zbyt długo i więcej może czasu poświęcałam oglądaniu róż piennych, a szczególnie pięknych bardzo krzewów, poraz pierwszy widzianych, które obsypane były szkarłatnymi, dużymi kwiatami o koronie motylkowój. Nazwa polska ich była *korali groch*, łacińskiej nie spamiętałam. Ale czas było w drogę. O godzinie wpół do szóstej pożegnaliśmy z żalem stary gród i naszego wspólnego przyjaciela, chcąc jeszcze przed zachodem słońca przejechać granicę, którą później zamykają. Formalności pasportowe, rewizja rzeczy, zajęły sporo czasu, a tu chmury zbliżały się coraz groźniej na niebie, błyskawice coraz częściej zapalały złowrogie pochodnie, w świetle których widać było doskonale szczyty oddalonych gór. Dojechaliśmy jednak szczęśliwie i dopiero gdyśmy się znaleźli w naszej chatce, lunął potężny deszcz, jakby tylko dla nas powstrzymany. Ale co tam, nie groźny on już teraz, gdy jesteśmy pod dachem, byle nie chciał padać długo, bo tylko jeszcze dwa dni będziemy w Ojcowie.

Chwała Bogu! wypogodziło się, czasami tylko, jakaś zapomniana chmurka rzuci na ziemię garść srebrnych kropel, ale można przynajmniej pożegnać śliczne, ulubione kąciki tej wiejskiej doliny, która jest „koroną na czole Polski przez Boga wykutą” (Deotyma). Raz więc jeszcze poszląm zobaczyć zamek, dolinę Prądnika, z niezrównanie piękną *bramą krakowską*, naszą ścieżkę w lesie i kochaną Saspowską dolinę, tak nam ulubioną. Ze ściśniętem sercem rzucam te miejsca uroczne, by wracać w upalne mury Warszawy. Lecz wszystko ma swój koniec, a prędzej niż wszystko wakacje. O żebyż to znów prędko góry zobaczyć!

WULKAN HEKLA.

Opowiadaliśmy niedawno czytelnikom naszym o wybuchach wulkanicznych, dla uzupełnienia tej pogadanki podajemy dziś rysunek, wyobrażający ostatni wybuch Hekli w r. 1878. Szkic ten wykonany był z natury na okręcie, stojącym na kotwicy w pobliższej przystani. Lawa i płomienie nie wychodziły ze szczytu góry, lecz z krateru, znajdującego się w kotlinie, a jednak olbrzymia fontanna ognista wznosiła się wyżej od wierzchołka góry, wicher gwałtowny pędził ją w kierunku południowym. Góra Hekla oznaczona jest na rysunku jednym krzyżykiem, dwa krzyżyki oznaczają górę Tin Fjeld, trzy Oster Jökull, cztery Mirdahl Jökull. Są to wszystkie wulkany wygasłe, a oprócz tego naliczono na wyspie Islandyi dwadzieścia kilka kraterów wulkanicznych, z tych niektóre do niedawna jeszcze były czynne.

PAJĄK PTASZNIK.

Największy ze wszystkich pająków jest ptasznik, *Mygale avicularia*, na rycinie naszej przedstawiony, zamieszkujący okolice gorące, starego i nowego świata. Zwykłym pożywieniem jego są owady, lecz dusi także i małe ptaszęta, zwłaszcza kolibry, stąd pochodzi jego nazwa. Olbrzym ten rodzaju pająków cały jest obrosnięty kosmatym włosem, czarnej, brunatnej lub rudawej barwy, długość jego z nogami dochodzi siedmiu cali, samo cielsko miewa często około dwóch cali i więcej. Niektóre gatunki ptaszników przebywają na drzewach, po większej części jednak grzebią sobie nory i podzie-

mne, w których urządzają sieci pajęczynowe, do chwytania zdobyczy. Nie są jadowite, człowiekowi krzywdy nie czynią. Pewien podróżnik widział w Ameryce, jak dzieci krajowców Indyan bawią się ptasznikami żywymi, wodząc je na sznurku, jak pieski lub kotki.

JADWIGA JAGIELLONKA.

Było to w 1474 roku, Łęczyca, dzisiaj mało znaczące miasteczko w guberni Kaliskiej, miała być świadkiem rzadkiej uroczystości. Zjechał tam bowiem król Kazimierz Jagiellończyk, aby przyjmować poselstwo bawarskie, które przybywało prosić o rękę, najstarszej jego córki, Jadwigi Jagiellonki.

Król polski przyjął z należytą uroczystością wysłańców księcia Ludwika, ale nie dał stanowczej odpowiedzi. Dobry mąż i ojciec, nie chciał ostatecznego wypowiedzieć zdania, bez naradzenia się z żoną, przezacną Elżbietą, o której czytelnicy „Wieczorów” nieraz już w piśmie tem znajdowali wzmiankę. Królowa, a szlachetnością serca godna siebie para, miała święta Bożego narodzenia spędzić w Radomiu. Tam więc zdążył Kazimierz, wzruszony myślą, że o losie najstarszej córki stanowić będzie musiał.

Radom, wśród lasów na wiele mil się ciągnących zbudowany na równinie, przetrniętej rzeką Mleczną, krył się skromnie przed oczyma przejeżdżających. Nawet zamek jego nie strzelał wyniosłe wieżycami, przysiadł wśród otaczających go starych domostw, jakgdyby się wstydził, że obrał sobie siedlisko w miejscu, które natura niczem nieprzydobiła. Dziś jednak i tu gwarno i tu świątecznie. Radomianie z niecierpliwością oczekują wigilii, bo na nią zjechać ma ukochany król Kazimierz, a królowa z dworem i dziećmi gości już w zamku.

Dworzanie i hajducy roją się tłumnie około zastawienia wigilijnej uczty. Podróżny kredens królewski dostarczył sreber, ozdobnych wspaniałymi herbami Jagiellonów. Stoły pokryte były misami, na których, przyrządzone naprzód, kąpały się w szafranie dwulokciowe szczupaki z Pilicy i sandacze dostarczone z Wisły. Wszystko gotowe, w tej chwili właśnie pokorny zakonnik Bernardyńskiego klasztoru przyniósł opłatki, obcisnięte w złotą opaskę i położył je na okrągłym złotym półmisku, którego gotycki napis przypomina dzisiejsze z Zakopanego talarze.

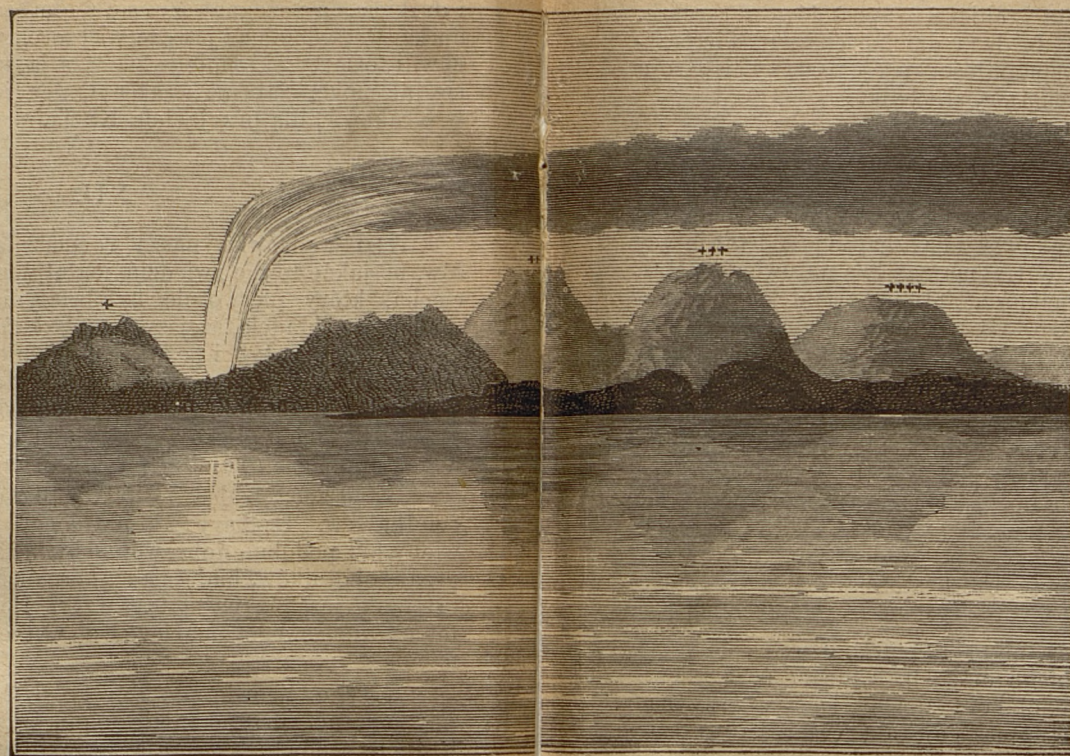
Ale dotąd nie nadjechał gospodarz zamku i kraju całego. Cekał go niecierpliwie dwór i rodzina, która widząc zapadający zmierzch, niepokoić się zaczęła. W komnacie, przyległej do jadalnej sali, siedziała królowa Elżbieta. Niezwykłe była dziś poważna, a na rozumnej twarzy tej polskiej matrony znać było, że walczą w niej różne uczucia. W tej chwili spoglądała z rozczuleniem a i macierzyńską dumą na córkę, która stała przy wazkiem, w gotycki łuk zakończonym, oknie, i wyglądała na drogę, na której orszak ukochanego ojca spostrzedz się spodziewała.

Młoda Jadwiga, nosiła imię świętobliwej Jagiellowej małżonki, bo drogie było ono każdemu polskiemu sercu, więc je pierwszej Kazimierza c. ze dano także. Miała lat siedemnaście, a wysmukła kibić, piękność twarzyczki i wyraz dziwnej dobroci i skromności krasiły dziewczkę, mogła też matka z chlubą na nią spoglądać. Milczały chwilę, pierwsza Jadwiga odezwała się, odchodząc od okna.

— Co mogło ojca zatrzymać tak długo w Łęczycy? czy nie raczysz powiedzieć mi, droga matko?

— A ty, nie domyślasz się niczego, dziecko — zapytała królowa, gładząc główkę dziewczyny, która zaczęła rozmowę przysiadła u jej nóg.

— Nie wiem matko, zrodziłam się do tego.



Wulkan Hekla.



Pająk ptasznik.

niała? Pan nasz i ojciec kochany ma tyle spraw ważnych na głowie, my dzieci bolejemy tylko, nie mogąc mu użyć w kłopotach.

— Tą razą ty mu ich jeszcze dodałaś — powiedziała z rzewną powagą królowa.

— Ja, matko, czyżby znów swaty, węgierskie, lub rakuskie niepokoić was miały?

— Zgadłaś, ale nie o tamte, tu chodzi. Miałas lat 11, kiedy król węgierski Maciej Huniady zgłosił się o twą rękę, ale odmówiłam, bo zawczesnym był ciężar korony dla dziecka, zresztą miałam żal do Huniadów za brata mego Władysława Pogrobowca. Odmówiłam i Maksymilianowi Rakuzkiemu, ale teraz swańba przychodzi nam z kąd inąd, i niewiem, co ojciec posłom odpowiedział w Łęczycy, ale dprawić ich z niczem będzie trudno.

— Jakto, matko — zawołała zrywając się Jadwiga, w której zagrała nieugięta szlachetna krew Jagiellońska, więc ja nic nie wiem, a tam może już o moim postanowiono losie?

— Odkąd że to wolno dziecku wątpić o tem, że rodzice najlepiej przyszłość jego obmyślić umieją? — powiedziała surowym głosem królowa, a księżniczka prędko spostrzegłszy swój błąd z pokorą całując kolana matki, nie śmiała odezwąć się więcej. W tem zatętniał podwórzec pod kopytami pędzącego jeźdźca. Był to dworzanin, oznajmujący przyjazd króla.

Otrąbiono radosną wieść na murach, otwarto bramę i wspaniałe sianie, niedźwiedzim futrem okryte, a złoconego potwora przedstawiające, wjechały na dziedziniec. Spienione konie potrząsały dumnie łbami, ubranymi w kity z piór i wesołe dzwonki, jakby rozumiały, że w kosztownej delii okutany, poważnie w saniach rozparty pan, to król Kazimierz, na którego czekał cały Radom, a zwłaszcza żona i córka, nie śmiejąca pytać, lecz wzruszone i niespokojne.

Przyjazd króla był hasłem podania wieczerzy. Wnie- siono wielkie dwie wazy, ale nim zaczęto rozlewać polewkę, król sam wziął w rękę złoty półmisek z opłatkami i łamał się chlebem wigilijnym, dając jak zawsze przykład poszanowania dla religii i tradycji.

Z kolei przystąpiła i Jadwiga ucałować rękę ojcowską, wzruszona słowami matki, nie mogła opanować rozczulenia i padła płacząc do nóg rodzicielskich.

Podnieśli ją łaskawie królestwo, uściskali, ale reszta wieczerzy spożyta została w milczeniu, bo myśl, że dziewczeczka po raz ostatni dzieli z niemi ucztę wigilijną, zaszepiła oboje. Dzień następny spędzono na modlitwie, lecz jeszcze przed nowym rokiem oświadczył Kazimierz żonie i córce, że książę Bawarski Ludwik prosi o rękę Jadwigi dla jedyne- go swego syna Jerzego. Związek przedstawiał się zaszczyt- nie. Książęta Bawarscy przez długi czas zasiadali na tronie cesarskim. Tak ks. Ludwik jak i syn jego Jerzy słynęli ze sprawiedliwości i zamiłowania w naukach, a bogactwa ich przeszły w przysłowie. Sumy nagromadzone w stolicy niższej Bawaryi. w Landshucie, podnoszono do nieobliczonych cyfr, a jednak główny skarbiec mieścił się w Burghausen.

Czwartego Stycznia podpisano ślubną umowę. Jadwi- ga dostawała 32,000 dukatów posagu, a daleko większą kwotę przeznaczono na jej wyprawę. Od tego czasu matka i córka nie rozstawały się prawie. Elżbieta udzielała dzie- weczce mądrych rad, Jadwiga ze strachem liczyła dni, które biegly prędko, a już w jesieni miała pożegnać rodziców. W Październiku zjechali oboje królestwo do Poznania i tam pobłogosławiwszy zanoszącą się od łez dziewczę, oddali ją poselstwu Bawarskiemu, a sami zostali dłużej w starym Mie- czysławowym grodzie.

Z żalem spoglądała zapłakana Jadwiga na niknące je- go wieżycę, na wspaniałe płynącą Wartę, co tocząc swe fale z pod Jasno Górskiej świątyni, przynosiła jej z tamąd bło- gosławieństwo Tej Najświętszej Królowej Polskiej korony. Towarzyszyły Jadwidze, ks. Cieszyńska Anna i Dorota Ko-

niecпольska, Dobiesław z Kurozwęk i Mikołaj z Kutna, ale ani dźwięk mowy ojczystej, ani widok nieznanych okolic, po- cieszyć królową nie mogły.

Panie niemieckiego poselstwa opowiadały jej o cudach skarbcza w Burghausen. Miał tam być naturalnej wielkości posąg Chrystusa ze złota i także 12 apostołów ze srebra. Ale najwięcej mówiono Jadwidze o dzielności i mężstwie przy- szłego jej małżonka, o wspaniałości jego postawy i stroju i tych też szczegółów najchętniej słuchała.

Przekonała się wkrótce, że prawdą było, co opowiada- no o ks. Jerzym. W otoczeniu najznakomitszych panów wyjechał on naprzeciw przyszłej swej małżonki. Siedział na przepyszny koniu, ubrany w żupan koloru narodowego Bawaryi. Na lewym rękawie miał haft, przedstawiający altankę, a w niej niewiastę trzymającą lwa na uwięzi. Haft był z pereł olbrzymiej wielkości. Munsztuk i deka pokrywa- jąca konia haftowane także były perłami. Kapelusz z wspa- niałym pioropuszem miał z boku klamrę, z olbrzymiej perły zrobioną.

Tak dzielnie zataczał koniem, że Jadwiga wyjrzała na- reszcie z karety i dała mu rękę do ucałowania. Potem or- szak książę ruszył dalej, bo opodal czekał ks. Ludwik, ojciec pana młodego, cesarz Fryderyk III, cesarzewicz Maksymi- lian, jego brat Zygmunt, mnóstwo książąt, elaktorów, mar- grabiów. Dwory ich towarzyszyły panom. Bogate orszaki niewiast podnosiły świetność uroczystości. Sama Elektoro- wa brandeburska jechała w towarzystwie 14 strojnych matron.

Wspaniałe przyjmowano naszą polską dziewczętkę, a ona za zbliżeniem się cesarskiego orszaku, widząc, że Fryderyk III zsiada z konia, żeby jej hołd złożyć, kazała zatrzymać karete i wysiadłszy z godnością powitała cesarza i przyszłe- go swego ojca, a w tak właściwych słowach odpowiedziała na mowę, jaką do niej miano, że rozumem zadziwiła obecnych.

Od tej chwili zaczęły się uroczystości weselne. Wspa- niały turniej uświetnił je jeszcze. Książę Jerzy dzielnie po- konał w nim przeciwników i pozyskał też serce młodej małżonki, bo Polki zawsze odwagę ceniły.

Czemuż gody weselne nie są jeszcze zapowiedzią szczę- śliwego życia! Byłaby nasza Jadwiga nie zaznała smutnych dni, jakie się stały jej udziałem. Ks. Ludwik umarł niedłu- go, młody Jerzy, objawszy rządy, spędzał czas na wypra- wach wojennych, zostawiając Jadwigę samotną. Wyprawy te podwójnie były jej bolesnemi. Odlęcały ją od męża, a przytem wychowana w Polsce pod opieką dobrego króla Kazimierza, nie mogła myśleć spokojnie, że Jerzy, obyczaj- jem średniowiecznym, niósł pożogę i grabież pomiędzy lud okoliczny. I jej, tak jak naszej Jadwidze, ciążyły lzy skrzy- wdzonych, a nie miał ich kto powrócić, bo dumny książę nie pojmował uczuć żony i obrażał się jej uwagami.

Zostawiona sobie, zamknęła się w sławnym owym zam- ku w Burghausen. Rzadko odwiedzana przez męża, oboję- tnie patrzyła na skarby, których opisywaniem bawiono ją przy wjeździe do Bawaryi.

Zyskała jednak szacunek i miłość współczesnych, kro- nikarze wspominają Jadwigę z wielkimi pochwałami. Dwie córeczki, Elżbieta i Małgorzata, stanowiły jedyną jej pocie- chę. Zmarła dnia 2-go Lutego 1501 r. w dzień Matki Bo- zkiej Gromnicznej. Myśl umierającej sęgała wspomnieniem Wawelską świątynię, w której dzieckiem będąc kłęczała z za- paloną gromnicą, najstarsza w wieńcu swego królewskiego rodzeństwa.

Zwiądl na obcej ziemi polski kwiat Jagiellonów, jak zwiędła druga jego linia na Węgrzech.

Bo — polskiej córce polskiej trzeba ziemi,
Wyrwana — ginie pomiędzy obcemi.

Zofia Bukowiecka.

TAJEMNICA STAREGO KLASZTORU.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBSKICH

przez M...a

(Dalszy ciąg).

Wschodzące słońce dnia tego ujrzało Dżurta biegnącego co tchu gościńcem w stronę sąsiedniej wioski, w której mieszkała Biała-kobieta. Biegł on do niej po radę, nie wiedząc sam, co czynić ze swoją tajemnicą, a nie chcąc powieścić jej starzyszyne, aby Milica nie sądziła, że znowu oskarża jej brata. A przecież trzeba było działać, bo od tego może zależeć ratunek Miłosza, jeżeli ten mógł być jeszcze uratowanym od czegoś złego, o istnieniu czego Dżurt już nie wątpił, acz nazwać tego nie umiał.

— Już wiem! — zawołała Biała-kobieta wysłuchawszy bezładnego opowiadania Dżurta. — Awiesz ty, chłopcze, co to jest upiór?

— Ratujcie, ludzie!... Miłosz upiorem?... Ależ on jeszcze żyje! — krzyknął Dżurt przerażony. Znachorka wzruszyła ramionami:

— Ale gdzie tam! Wcale on nie jest upiorem; — odparła. — Lecz powiedz, chłopcze, jeżeli wiesz, co to jest upiór?

— To człowiek, nie mający spokoju po śmierci, i który, aby utrzymać się na świecie, musi wysysać krew żywych ludzi i nią się żywić, i przeto goni za nimi...

— A jeżeli gonić nie może?...

— Jeżeli gonić nie może?

— Tak! jeżeli straszna jaka przysięga przykuwa go do miejsca, co on wtedy czyni?

Dżurt wytrzeszczył oczy na znachorkę, ale milczał, bo nie rozumiejąc słów jej, nie umiał odpowiedzieć. Ona pokiwala głową i rzekła:

— Widzę, że mię nie rozumiesz; nic to nie szkodzi, posłuchaj mimo to mój rady; pilnuj oto przez noc następną stajni tak, jak przez minioną pilnowałeś, tylko zacznij wcześniej, a gdy ujrzysz wychodzącego Miłosza, idź za nim skrycie, gdy przekonasz się, gdzie on idzie... natenczas zrozumiesz to, czego ja się już domyślałam i będziemy wtedy wiedzieli, co czynić i jak nieszczęśliwego chłopca ratować. Idź!

Dżurt poszedł. Przez cały dzień, przy śniadaniu, przy pracy, przy obiedzie i wieczerzy, był taki dziwny, błędny, ośmiewany, jakim nikt go nigdy nie znał:

— Cóż się dzieje! Czy i drugi parobczak zaczyna chować? Czary, czy co? — powiedział ten i ów, patrząc na niego.

Noc nadeszła; chłopak drżał ze strachu, ale mimo to poszedł za Miłoszem skrycie, jak tylko ten się udał na spoczynek. Nadzieja zjednania sobie serca Milicy, ratując jej brata, przezwyciężała strach nawet.

Wszyscy siedzieli u ogniska zadrugi, gdy Dżurt, zczarowany znowu, wypatrywał towarzysza w daleko szlachetniejszym celu, niż to mu się już dawniej zdarzyło. Widział, jak Miłosz wszedł drzwiami, zamknął je i po jakimś dośdłuższym czasie ujrzał go, tak jak się tego spodziewał, wypelzającego strychowem oknem, zsuwającego się po gruszy i zagłębiającego się w sady, wszystko z nieopisanym wysiłkiem.

— On chyba zaraz gdzie na drodze padnie i umrze, jeżeli jeszcze żyje... — pomyślał Dżurt pod wpływem bajek ludziach zaklętych, zczarowanych, i pozornie tylko żyjących, gdy dusza ich poza światem już przebywa, za sprawą tych mocy.

Tymczasem Miłosz, wspierając się kijem, lał bezsilny dalej, jakby istotnie jakaś tajemnicza potęga gwałtem wciągnęła kędys jego ciało bezwładne. Dżurt szedł za nim nagle, drżąc coraz bardziej w miarę, jak uważał drogi tej ratunek, aż gdy wyszedłszy z sadów i opłotków, Miłosz po-

wlókł się prosto do widocznego już teraz celu, Dżurt ręce zalał i uciekł, jak koń wyścigowy. Nie oparł się aż u drzwi Białej kobiety, w sąsiedniej wiosce. Otworzyła natychmiast, jakby czekała na niego:

— A co? gdzie poszedł? — spytała. Dżurt nie był w stanie przemówić. Podała mu wody, pomruczała jakieś nad nim tajemnicze wyrazy, i zaleknienie czy zmordowanie odeszło mu od tych jej szeptów, nie zaś od wody, jak on sam utrzymywał później.

— Wszedł w gruzy Starego Klasztoru! — jęknął. Znachorka kiwnęła mądrą głową, jakby wiedziała to naprzód i rzekła:

— Czy wiesz teraz, *momku*, (chłopaku) co czynią upiory, gdy nie mogą gonić człowieka, bo straszna przysięga wiąże ich do miejsca, tak jak mnichów do obrębu ich klasztoru? Oto za pomocą tajemnych potęg sprowadzają człowieka do siebie!... Teraz wiesz, czemu Miłosz z każdą nocą słabszy jest i bledszy, jakby krwi mu ubywało?... Rozumiesz, dla czego niepomogły mu zioła moje, i zaklęcia, i sposoby, które zawsze i każdemu pomagają.

XIV.

Jak baba pozbyła się kłopotu, a Milica go nabyła.

Tak, Dżurt teraz doskonale to wszystko rozumiał i wiedział, bo wychowany był w beźdni gusiel i zabobonów ludowych, tak, jak i sama mądra znachorka. Trząsł się z przerażenia, jak w febrze, a co najbardziej pomieścić mu się w głowie nie mogło, to że okropne oskarżenie padało nie na kogo innego, tylko właśnie na tych dobrych mnichów, o których tyle świątobliwych legend odwiecznych krążyło w okolicy, z których popiołami niejako żyła się i zaprzyjaźniła ludność miejscowa, i którzy zdawali się jakby serdeczną, jakąś opieką szczególnie młodzież otaczać, gdyż związki pobratymstwa, zawierane na zabawach młodzieńczych wśród gruzów Starego Klasztoru, słynęły nadzwyczajną trwałością i świętością, od niepamiętnych czasów. Serdeczne jakieś uczucie dla mnichów ośwalało się w sercu Dżurta tak wyraźnie, że znalazł mimo okropnego wzruszenia, cośkolwiek jeszcze na ich obronę:

— Ale jakże to być może? — rzekł — wszak uczciwy człowiek nigdy nie może zamienić się w upiora, chyba gdyby nad niepochowanym jeszcze zwłokami ptak przeleciał, a przecież dużo już setek lat upłynęło, odkąd mnichy tutejsi śpią w swoich podziemiach i nigdy nikomu nieszczęście od nich nie przyszło, zkażdeby teraz dopiero mógł który z nich zostać upiorem?

To, co powiedział Dżurt, ściśle wedle ludowych wierzeń, było istotnie pewnego rodzaju argumentem na obronę mnichów, i to tak ważnym, że znachorka, nie znajdując może odpowiedzi, krzyknęła nagle, gniew wielki udając:

— To więc tak!... To ty, *momku*, śmiesz wątpić o tem, co ja, ja tobie powiadam? Kiedyś taki mądry, to dawaj że sobie sam radę w tej sprawie! Miałam właśnie okadzić Miłosza takim zielem i takie nad nim wyrzec zaklęcie, że z pewnością byłabym go z pod władzy upiorów wyrwała, ale teraz, idź sobie precz i więcej mię do Miłosza nie wołajcie! Nie chcę już słyszeć, ani o nim, ani o tobie!

I wypchnawszy parobczaka, rozgniewana znachorka zamknęła mu drzwi przed nosem. W chwilę później wyjrzała ostrożnie i zdumiała, że chłopak, zamiast błagać jej przebaczenia i kupować je podarkami, znikł już z przed chaty.

Dżurt, strachliwy okrutnie, gdy sądził, że ma do czynienia z duchami, był wcale odważnym i sprytnym z ludźmi. Zrozumiał też odrazu, że znachorka udaje tylko gniew, aby pozbyć się chorego, dla którego nie miała lekarstwa. Zmartwiony, bo prawie utraciwszy ostatnią dla Miłosza nadzieję, wracał do wsi rodzinnej daleko wolniejszym krokiem, niż z niej wybiegł.

Był to nielada kawał drogi, to też słońce już w krótkce miało zabłyśnąć, gdy młody chłopak stanął przed wspólną

stajnią zadrugi. Obejrzał się bacznie w około i widząc, że sioło śpi jeszcze, wdrapał się co prędzej po gruszy na dach, wszedł na strych, i zastawszy poziome drwi do stajni wiodące, zamknięte, zajrzał na dół przez znaną sobie szparę w podłodze i zadrżał... Miłosza jeszcze nie było. Czekał długą chwilę, nie wiedząc sam, co czynić, gdyby chory wcale nie wrócił?... A w tem skrzyp uchylanych kędyś drzwi zwrócił jego uwagę: to Milica, ranny ptaszek, i mimo wszelkich zmartwień zawsze dbająca o piękną twarzyczkę, wysunęła się z rodzicielskiej chatki maleńkiej i białem płótnem zbierając rosę z murawy pod okienkiem, myła się nią starannie. W kilku skokach Dżurt był przy niej; byłaby wskoczyła do chatki, bo chociaż już odziana przyzwyczajenie, nie była przecież jeszcze zupełnie ubraną, ani złotych pieniążków, ani kwiatów, nie było jeszcze w bujnych, ale nie strojnych warkoczach; byłaby więc uciekła, gdyby Dżurt nie wstrzymał jej na miejscu jednym słówkiem szepniętem:

— Miłosz!...

— Miłosz! co? jak?—krzyknęła i biegła już do stajni.

— Nie tam! — szepnął Dżurt znowu, a gdy stanęła, patrząc nań wystraszonymi oczyma, opowiedział jej bezładnie, bo z szalonym pośpiechem wszystko...

— Upiory!... tam poszedł... nie wrócił... — powtarzała Milica, jak nieprzytomna pod wrażeniem strasznego opowiadania, trzymając się oburącz za głowę, pękającą pod nawalną myślą i dodając nagle:

— A może tam jest? może odratować go jeszcze można? Pójdź mi dopomóż, Dżurcie ukochany, jeżeli masz sumienie! — i wymówiwszy te wyrazy cała we łzach i ze złożonymi rękami do parobczaka, następnie bez namysłu, jak dzika koza, puściła się biegiem co sił starczyło, w stronę Starego Klasztoru.

(d. c. n.)

SIEROTOM.

Za pośrednictwem redakcyi Wieczorów odebrałam list następujący:

Artykuł szanownej pani w „Wieczorach rodzinnych” w Nrze 8 o nędzy w Warszawie, jest powodem, iż i my pragniemy przynieść ulgę cierpiącej ludzkości i choć w części umniejszyć im cierpień chłodu i głodu, a w zamian prosimy o ich modlitwy. Na ręce szanownej pani śmimy przesłać ten nasz datek, skoro pismem jej dotego pobudzeni zostaliśmy.

Sieroty.

Do listu tego dołączone było rs. 100 (sto). Ktokolwiek jesteście wy, coście umiały odczuć moje słowa, niech wam Bóg błogosławi, że je do serca przyjęłyście, że one taki owoc wydały. Chciejcie wierzyć, że rozważnie i z wielką ogłędnością, rozdawać będę dar wasz, że wspomogę prawdziwą nędzę, głód i chłód znośszą. W swoim czasie usprawiedliwię się z sumy powierzonych mi przez was, teraz tylko dziękować wam za nią mogę. I ja byłam sierotą, a zawsze żyłam myślą, żeby, czekając mnie za grobem, dusza matki błogosławić mi mogła. Widzę, że i wy w ten sposób miłość dla waszej pojmujecie,

może Bóg da nam wszystkim spotkać się z ukochanymi naszymi, tam gdzie ani leż, ani sierot nie będzie.

Zofia Bukowiecka.

SZARADA (Prymulka różowa).

*Pierwsze rzeka,
Od nas daleka,
Drugie znajdziecie
W alfabecie,
Przy szachach trzecie
Często słyszycie,
Wszystko utwór poetyczny,
Ale rzadko bywa słiczny.*

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Żubra dla Szczebiotki).

Z następujących zgłosek: a — ar — cy — den — dro — e — gaj — ko — ksan — le — mi — no — niusz — on — pas — rio — sław — ścioł — ta — wo — z — dzi — ułożyć wyrazy: 1. Imię męskie. 2. Stacya kolei nad granicą pruską. 3. Dom modlitwy. 4. Jezioro w Ameryce. 5. Część ubrania. 6. Znakomity wódz germański. 7. Lud germański. 8. Miejsce szczęśliwości. Początkowe litery z góry na dół utworzą nazwę ulubionej miejscowości w Tatrach, końcowe w tym samym kierunku nazwę góry także w Tatrach.

ROZWIĄZANIA DO Nru 9-go.

Szarady:

Ob — raz.

(Zgłoski właściwie powinny się rozdzielać: o-braz, lecz mała niedokładność ujęć może w szaradzie).

Łamigłówki anagramowej:

Paka — Adam — Paczka — Łuna — Odra — Nora — Słoma — Kuba — Izaak.

Papłoński.

OGŁOSZENIE.

W redakcyi „Wieczorów Rodzinnych” powziąć można wiadomość w godzinach porannych od 8 — 11. o Francuzce Paryżance, udzielającej lekcyi konwersacyi.

TREŚĆ: Do rodzinnej strzechy, wiersz p. Sewerynę Duchińską. — Księga pamiętnych czynów. — Młoda podróżniczka w Ojcowie, przepisała Zofia Grabkowska. — Wulkan Hekla (z drzew.) — Pajak ptasznik (z drzew.) — Jadwiga Jagiellonka, p. Zofia Bukowiecka. — Tajemnica starego klasztoru, powieść z dziejów serbskich p. M — a. (c. d.) — Sierotom. — Łamigłówki i rozwiązania. **W dodatku:** Dramat w 3-ich aktach (z drzew.) — Wierszyk ułożony p. Ludwika Niemojowskiego. — Stefanek na wsi, p. Kazimierz. — Rodzeństwo, opowiadanie Wiochny z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Osadnicy kanadyjscy, naśladowanie angielskiej powieści kapitana Marryat'a.



Akt 1.

Akt 2.

Akt 3.

Dramat w 3-ch aktach.

DRAMAT W 3-CH AKTACH.

Akt 1. Myszki biegają sobie po pokoju, wszędzie ciekawe noski wścibiają. Ach! jakiś koszyk zakryty, wartoby do niego zajrzeć, bo tam muszą być jakieś wyborne przysmaki.

Akt 2. Myszki drapią się na koszyk, koniecznie chcą się dowiedzieć, co tam się w nim ukrywa i przysmaków zakosztować.

Akt 3. Niestety! Co za nieprzyjemna niespodzianka! Z koszyka wysuwają się trzy okrągłe łebki z błyszczącymi oczkami, z rozwartych paszcz wyglądają straszliwe, ostre ząbki... to kociaki!

W *wszystki*em zaś, panienko młoda,
Dodam, gdy mnie kto zapyta,
Nietylko warzy się woda,
Ale i ciecż rozmaita.
Oj, Czarnulko, oj, kochanie,
Trzym dni męczył się okrutnie,
Nim odgadłem, że zadanie
Jest *kociołkiem* — wszak to smutnie?
Więc, panienko, miej zasadę,
Idąc torem starszych osób,
Gdy mi dasz kiedy Szaradę,
W dokładniejszy skreśl ją sposób.

STEFANEK NA WSI.

III.

Kłopoty Stefcia.

Wierszyk ułożony przez Ludwika Niemojowskiego
dla Czarnulki, w odpowiedzi na ofiarowaną mu Szaradę
„Kociołek” (Nr. 6 Wiecz. Rodz.)

Pierwsze trzecie, mogę przysiąc,
Że nietylko jest w ogrodzie,
Lecz ich można znaleźć tysiąc
W każdym siole i zagrodzie,
Pośród obór, gumn, stodołek,
W wiosce małej, średniej, dużej,
Gdzie budynek tam i *kołek*,
Gdyż on do spajania służy.
A znowu *drugie i trzecie*,
Nie tylko znane nazwisko,
Lecz zaręczam, że znajdziecie
W stadku bydła, gdzie pastwisko,
Oprócz zimy, w każdej porze,
Kędy chodzi krowa, wołek,
Po manowcu lub ugorze,
Tam najczęściej bywa *ciołek*.

Dnia jednego z rana Stefcio z płaczem przybiega do pokoju, w którym mama gotowała jakieś lekarstwo dla chorego dziecka ze wsi.

— Co ci się stało? — zapytała mama niespokojnie, idąc śpiesznie naprzeciw chłopczyka — czyś się skaleczył, czy stłukł może? co ci jest?

Stefcio tak płakał, że mówić nie mógł.

— To proszę cioci — rzekł Bolesł, wchodząc do pokoju — Stefcio zobaczył, że kucharz chciał takim dużym nożem zabijać kurczęta, więc zaczął płakać i przyszedł na skargę do cioci.

A Stefanek, trzeba wam wiedzieć, ma tak dobre i czułe serduszek, że wszystkim dzieciom za wzór służyć może. Nigdy najmniejszemu nawet robaczkowi nie zrobi krzywdy, psa nie uderzy, kotkom nie psoci, kur nie goni, strasząc je biczykiem, wszystkie zwierzęta lubi i wszystkiemi radby się opiekować. Stefcio nie widział nigdy

żeby co zabijano, a jak było na półmisku, nie przyszło mu jakoś na myśl zapytać, co się stało, że kurczę lub kaczką upieczone.

Dnia tego pierwszy raz zobaczył zabójcze zamiary kucharza, i z płaczem pobiegł do mamy.

— Najpierw, mój Stefcio, nie płacz ciągle — rzekła mama — chłopczyk powinien być mężny na wszystko.

— A czy mamusi nie żał tych ślicznych kurek? — mówił Stefcio, wyciągając chusteczkę z kieszonki — czy to mamusia naprawdę je kazała pozabijać? Ach! jaki ja nieszczęśliwy, niedawno mi psy kotkę zażarły, a dziś kucharz zabija mi kurczaki.

W tej chwili kucharz wszedł z uśmiechem do kobiecego pokoju.

— Mój kucharzu — zapytała mama — podobno zabijaliście kurczęta?

— Ale gdzie tam, proszę pani — odpowiedział kucharz — Stefcio się bardzo omylił — ani pomyślałem zabijać kurczątek.

— Tak, niby ja nie widziałem, jak kucharz miał nóż w ręku — mówił Stefanek, z trudnością powstrzymując się od łez — ach, mamusiu, nie każ nigdy nic zabijać, moja złota, moja jedyna, moja kochana.

— Ale niechże Stefcio będzie spokojny — rzekł kucharz — te kurczęta, co dziś będą na obiad, to same zdechły.

— To ich nie bolało, jak zdechły? — zapytał Stefanek, uspokajając się trochę.

— E gdzieby je tam bolało — mówił kucharz, śmiejąc się — takie były kontente, co aż nóżkami fikały.

— A co zrobić, żeby nie zdychały? — mówił Stefcio — czy nie możnaby im przyłożyć na łebki tej maści, co to mamusia robi dla chorych?

— Na to, Stefcio, niema rady, jak ma zdechnąć, to i zdycha — rzekł kucharz, nakładając w rondel masło do owych zdechłych kurcząt — niech tylko Stefanek się nie martwi, jak co zdechnie, to trudno.

Chłopczyk uspokoił się trochę, i poszedł się bawić a gdy przy obiedzie podano kurczęta, rzekł:

— Chociaż te kurczęta bardzo są smaczne, ale zawsze szkoda, że pozdychały.

W parę dni potem było dosyć gości z sąsiedztwa, a gdy przy kolacyi podano pieczone, Stefcio rzekł do cioci, która też przyjechała już na wakacje:

— Proszę cioci, ten indyk jeszcze wczoraj zdechl przed wieczorem, kucharz mówił, że chorował na gardło, tak mu spuchło, i zdechl.

Można sobie wyobrazić, co się działo z mamą po tych słowach chłopczyka, goście spojrzeli zdziwieni, a ciocia tak się śmiać zaczęła, że aż mówić nie mogła.

Dopiero jedna pani domowa, która wiedziała, co to znaczyło, opowiedziała po francuzku jakiego to fortelu użył kucharz, aby Stefciovi oszczędzić zmartwienia i wszyscy śmieli się serdecznie, że jedli zdechłego indyka.

Na drugi dzień chłopczyki wstali bardzo rano i wypijwszy po filiżance świeżego mleka, pobiegli do ogrodu.

— Wiesz co — mówił Boles — moglibyśmy urządzić dziś sobie jaką zabawę, już dawno o tym myślę, żeby zrobić rzecz jaką wesołą.

A jaką? — zapytał Stefanek, a czarne oczki błysnęły mu radością — mów, to zaraz tę rzecz zrobimy.

— Więc zrobmy kolej żelazną — rzekł Boles, patrząc z tryumfem na braciszka.

— Kolej! — krzyknął Stefcio — wybornie, ja będę koleją.

— Ba, to nie tak łatwo, jak myślisz — mówił Boles wyciągając sznurek z kieszeni — ty myślisz, że kolej to tak sobie, prosty wóz do słomy.

— Ja wiem, że nie, ale przecie możemy to zrobić, kiedy inni to potrafili — rzekł Stefcio śmiało.

— Widziałeś ty kiedy kolej? — zapytał Boles nagle.

— Widziałem na obrazku, ślicznie była malowana — mówił Stefcio z zadowoleniem — miała koła czerwone i taki ładny wysoki żółty komin. A ty widziałeś kiedy prawdziwą, nie malowaną?

— Ja też nie widziałem prawdziwej, tylko malowaną, ale to nic nie szkodzi — mówił Boles, rozwijając sznurek — my zrobimy prawdziwą.

— We dwóch tylko? — zapytał Stefcio — zawołamy Kuby i Wojtusia.

— E, cobyśmy mieli z Wojtusia, kolej musi bardzo prędko jechać, a on chodzić dobrze nie potrafi, ma angielską chorobę, słyszałem że tak mówiono — rzekł Boles.

— Nie angielską, tylko niemiecką — rzekł Stefcio, marszcząc czoło — bo wszystko co złe, to niemieckie.

— Czy ty Niemców nie lubisz? — zapytał Boles.

— Niecierpię — rzekł Stefcio krótko.

— To i ja niecierpię — odpowiedział Boles.

— Stefcio! — zawołał Kuba, wbiegając z bocznęj ulicy — znalazłem gniazdko z ptaszkami, niech tylko Boles i Stefcio idą, to pokażę zaraz.

— Nie pójde — rzekł pierwszy Stefanek — tatuś powiada, że tylko źli ludzie płoszą ptaszki i psują im gniazdko, nie pójde i ty, Kubuś, nie chodź, tatuś gniewałby się na ciebie.

Kubuś podrapał się za ucho i przestępował z nogi na nogę.

— I ja nie pójde — mówił Boles — ptaszki przestraszyłyby się okropnie, ujrzawszy nas przy gniazdku, nie trzeba nikomu dokuczać.

— Ale ja im nic złego nie zrobię, chciałem tylko zobaczyć je zblizka — odpowiedział Kubuś.

— Wiesz co — mówił Stefcio — ja także chciałbym je zobaczyć, ale nie pójde, tylko później posypimy im przy gniazdku ziarenek pszenicy. Nie pójdziem tan. Kubuś? co? nie, nie pójdiesz nigdy?

— Nie pójde nigdy, kiedy Stefcio tak chce — odrzekł Kubuś stanowczo, bo bardzo Stefcia kochał.

— A teraz, słuchaj, Kubuś, będziemy się bawili bardzo wesoło, zrobimy kolej.

— E, dopiero mi to wielka zabawa kolej — rzekł Kuba pogardliwie — za koleją to chodzą wiejskie dzieciaki, ale nie panicze, abo to pańska rzecz.

Boles ze Stefcielem spojrzeli na siebie, czy Kuba ich czy oni Kuby nie rozumieli.

— Co ty tam wiesz — rzekł nareszcie Boles — kolej jest i dla panów, i wujek, i ciocia koleją jeżdżą, i moja mamusia też koleją jeździ.

— Co też Boleś wymyśla za dziwy, abo to za kolej — kto jeździ, a toczy to jeszcze prędkiej trzoda się rozleciała po polu.

— Co ty bajasz? nic cię nie rozumiem — rzekł Boleś, śmiejąc się.

— Kolej to widzisz takie powozy, co jadą bez koni mówił Stefcio poważnie.

— Bez koni? — zapytał Kuba, i aż usta ze zdziwienia otworzył.

Kubuś mieszkał ciągle z matką na wsi, w okolicy takiej, gdzie kolej nawet w pobliżu nie przechodziła, i do tego nic o niej nie słyszał.

Wtém zawołano dzieci na śniadanie.

— Teraz nie mamy czasu, musimy iść, ale po śniadaniu przyjdziemy, to ci powiemy co to kolej, i urządzimy sobie taką samą.

Kazimiera.

RODZEŃSTWO.

OPOWIEDZIAŁA WIOCHNA Z POD LUBLINA.

(Dalszy ciąg).

— Ja, mateczko, nie prymuska — rzekła z pewną nieśmiałością — starałam się jednak przywieźć jaknajlepszą cenzurę, jestem trzecią uczennicą.

— Wiemy, drogie dziecko, że nie masz takich zdolności, jak bracia i tём więcej cenimy twą pilność i wytrwałość — odparła matka łagodnie.

— Ale gdzież Hela? nie powitałam jęj jeszcze — rzekła Anielka — ucałuj mię, siostrzyczko kochana — dodała, ściskając uradowaną siostrzyczkę. — Czy tęskniłaś za twoją Anielcią?

Hela, zarzucając rączki na szyję, chce opowiedzieć dużo, dużo rzeczy, ale oto chłopcy zbliżają się z powitaniem.

— A Hela, dzieńdobry! — woła Lutek, niepomny na spóźnioną wieczorną godzinę — no daj mi buziaka. Przywiozłem, ach! co ja ci to przywiozłem... zapomniałem. To nic, zobaczysz jutro.

Adaś całuje ją w czoło.

— Jak się masz, mała? czyś grzeczna? Helenka dużo urosła — dodaje, zwracając się do rodziców i zajmując miejsce naprzeciw ojca, rozpoczyna z nim poważną rozmowę o naukach.

Lutek, zając kotlety cięjące z kaszką, rozpowiada z właściwem sobie ożywieniem o swoich profesorach, kolegach, szkolnych figlach, a przytém ubarwia swą mowę tylu wyrażeniami wyjętymi z uczniowskiego słownika, że często mama nie rozumie go wcale. Anielka, objawszy ręką swą małą siostrzyczkę, wypytuje ją o różne drobne sprawy jęj życia, a Hela tak jest szczęśliwą, że zapomniła zupełnie o wszystkich przygotowaniach uczynionych na przybycie Anielki, w lalczywym dworcu. Biedna Marysia, pieczone wysuszy jęj się bez wątpienia, a panna Idalia zaśnie pewnie nad książką!

— Wie mamusia — woła Lutek — kupiłem sobie halifaksy (łyżwy), ale jakie halifaksy, to buzi dać! Aniel-

ki łopatki ani się do nich umywają. Będę się dopiero ślizgał! Jakeśmy jechali od kolei, w Zwirowie na jeziorze, widziałem jakiegoś chłopca na łyżwach, ale co on tam wie! co trzy kroki, to bęc o ziemię, a garbił się też, oj, naśmiałem się z niego niemało. Za to jak ja jeżdżę, ho! ho! Zobaczy mamusia, fiul i jużem na drugim końcu sadzawki.

— A ty, Adasiu, lubisz harcować na lodzie?

— Czy mama mówi o kłesce pod Berezyną? — pyta Adaś z roztargnioną miną, czternastoletniego uczonego.

— Ale gdzież tam, mój chłopcze — zawołał ojciec, śmiejąc się — czy myślisz o niebieskich migdałach, że nie słyszysz, co do ciebie mówią?

Obiło mi się o uszy słowo „lód”, a że właśnie myśle o Napoleonie...

— Doprawdy, dziwne myśli w pierwszej godzinie przybycia do domu, po trzymiesięcznej nieobecności — zauważył ojciec widocznie niezadowolony — ja przynajmniej, w mojem dzieciństwie zwykle zapomniałem o wszystkich Aleksandrach, Napoleonach, Daryuszach i Cyrusach, tak byłem szczęśliwy z ujrzenia rodziców i rodzeństwa. Ty, mój chłopcze, jak widzę, coraz bardziej zaczynasz chorować na tę epidemię uczoności, co mię wielce zasmuca, bo nie wiesz może, jak śmiesznym jest widok młodego chłopca, udającego mędrca. Każdy wiek ma swoje prawa.

Adaś pochylił głowę nad talerzem, a mama, nie chcąc go jeszcze więcej zawstydzać, nie pytała już o ślizgawkę i rozmawiała z Anielką o ich podróży i znajomych w Warszawie. Na wesołej pogawędce czas biegł szybko i ani się spostrzeżono, gdy wybiła dziesiąta, haśło do spoczynku. Niebawem spali wszyscy, jedna tylko Hela, leżąc cicho w łóżeczku, myślała, jak to trzeba postępować, żeby zyskać sobie miłość braciszków. Długo, długo łamała sobie główkę napróżno, wkońcu widać nasunęła jęj się wesoła myśl, bo klasnęła w rączki radośnie, jak to zwykła była czynić, gdy ją co bardzo cieszyło.

— Ach! co ja robię — szepnęła przestraszona — zapomniałam, że to noc, jeszcze obudzę Anielcię. Ale jestem taka szczęśliwa, już wiem, co mam robić, żeby mię bracia kochali: będę zawsze i we wszystkiem naśladować moję starszą siostrzyczkę, ona taka dobra! Ile razy mię co rozgniewa, zanim słowo wymówię, zadam sobie pytanie: coby Anielcia powiedziała na mojem miejscu? A jaka to będzie radość dla rodziców, gdy się poprawię. Ale trzeba już spać, żeby jutro nie zasnę znowu, Anielcia tak wcześnie wstaje.

Wkrótce Hela usnęła smacznie i śniło jęj się, że jest tak dobrą, tak dobrą siostrzyczką, że innym siostrzyczkom za wzór jest stawianą.

— A weźcie też Helę na egzamin, bracia i siostrzyczko — rzekł ojciec nazajutrz przy śniadaniu.

— Dobrze, ja cię wyegzaminuję, czyś silna w kułakach — zawołał Lutek.

— Cóż taka mała może umieć? — zauważył Adaś, Anielka zaś uśmiechnęła się do siostrzyczki:

(d. c. n.)

Łamigłówka w kwadraciku.

(Osa z nad Wisły).

4 A — 2 D — 2 I — 3 N — 2 R — 2 Y — 1 Z — ułożyc w 16 podziałkach aby odczytać w obu kierunkach:
1. Rzeka w królestwie polskim. 2. Kraj w Azji. 3. Przedmioty otrzymane bezpłatnie. 4. Roślina ogrodowa.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 9 go.

Z a g a d k i:

Muszka.

(odczytać od góry do dołu pierwsze litery).

Skrzynka do listów.

Rozetce serdecznie dziękujemy za jej miłutki list i prosimy niech i nadal o nas pamięta.

Wróblowi szaremu obiecujemy umieścić zagadkę, jeśli tylko znajdzie się miejsce. Cieszymy się bardzo, że żywot ks. Kalinki tak się Wróbelkowi podobał, może kiedy nagrodzi dzisiejszy brak czasu i odda się nauce historii, skoro tak ceni historyków.

Morskiej Różyczce zaręczamy, że listy jej nigdy nie znudziły „Kochanej pani” prosimy tylko o cierpliwość bo mamy dużo łamigłówek, te więc poczekać muszą.

Kamelia różowa bardzo nas zmartwiła wiadomością o bolącym palcu, kiedy on w lekcjach muzyki przeszkadza. Cieszymy się, że opis nędzy, ratowanej przez dzieci z „Wieczorów”, tak się wszystkim podobał i za przyobiecane dary dziękujemy. Tajemnicę Starego Klasztoru napisała p. Michalina Zielińska.

Gwiazdeczce z nad Wilgi dziękujemy, że zdobyła się na odwagę napisania do nas, na zapytanie odpowiemy Gwiazdeczce później, list do myszki wydrukujemy.

Stokrotka z nad Wilgi już zapewne zna nowe zadanie konkursowe. Było umieszczone w N-rze 10, w sprawozdaniu Kazia.

Gwiazdce z malej Rusi. Bardzo nam przykra taka długa choroba Gwiazdeczki, na list szanownej jej nauczycielki odpowiemy później dla przyczyn od nas niezależnych.

Rusinowi donosimy, że witamy zawsze z radością nowych korespondentów, list do Cyganeczki wydrukujemy. Czemu Rusin wieku i dokładnego adresu nie podał.

Krukowi z Kielc dziękujemy bardzo za ślicznie napisany list. Rebus dobrze odgadnięty, ale niech kochany Kruk nie zapomina o jedzeniu dla czytania, to byłaby przesada. Widać Kruk jest prawdziwym Białym Krukiem, kiedy w tym wieku tak mało ceni przysmaczki, ale czemu nazwiska swego nie napisał?

Czarnulce posyłamy całuska za to, że jest taka uczciwa dziewczynka i nie chce cudzej pracy za swoją podawać. Wierszyków mamy bardzo dużo, więc teraz drukować nie możemy.

Poziomeczce z pod Wawelu dziękujemy bardzo za list, łamigłówek mamy bardzo dużo, ale o listy prosimy zawsze, bo są one dowodem, że nas kochane czytelniczki także troszkę kochają, a my tego bardzo pragniemy.

Niezapominajkę z nad Wisły prosimy, aby list do „Kochanej pani” nigdy jej nie przestraszał. Niezapominajka ma słuszość pisząc, że ta pani jest przyjaciółką dzieci. Jest nią z całego serca, dla tego nie bać się ale kochać ją trzeba.

Nowej korespondentce Niezapominajce donosimy, że pewnie nieraz dostanie nagrodę, kiedy tak rozumie potrzebę nauczania się historii. Radzimy aby wzięła inny pseudonym, bo ten zabrała jej siostrzyczka z nad Wisły i wiele innych niezapominajek.

Halutkę S. prosimy, aby obrała sobie pseudonym i pod takim doniosła nam wyraźniej jakich chce numerów. Powieść Osadnicy Kanadyjczy jeszcze nie skończona.

Jasiowi Buyno który siedm lat mając tak porządnie pisać donosimy, że 7 numer wysłaliśmy powtórnie.

Biedronce Warszawskiej zaręczamy, że wypracowania zawsze z radością są przyjmowane, chociażby nie zasługiwały na nagrodę.

Kupidynka witamy pomiędzy nowymi korespondentami. Jak że dobrym jest bratem kiedy znajduje czas na czytanie młodszemu rodzeństwu „Wieczorów”; będziemy się starać aby i nadal pismo to podobało się Kupidynkowi, bo boimy się jego strzał.

Nieznanej przyjaciółce odpowiada Zosia za pośrednictwem Skrzynki do listów, że bardzo się cieszy nową przyjaciółką i prosi o dalsze listy. Ubolewa nad nią za dokuczanie braci, bo sama tego doznaje i donosi, że bardzo jej się podobał opis wioski, gdzie Nieznajoma mieszka i chętnie, mimo lat 15, weszłaby do gołębnika.

Łabędziowi z nad Żywu zaręczamy, że nigdy za często nie pisują nasi kochani korespondenci, a do tych zawsze liczymy Łabędzia,

Kominiarczykowi przypominamy, że tylko jeden i to krótki list redakcyja wydrukować może.

Kochany Bengalinku! Zdaje mi się że cię znam, i że cię imię Kazio. Czy nie masz przypadkiem „babuleńki”? którą bardzo kochasz, a która mnie zna doskonale, a mam nadzieję, że i koch troszeczkę. Sarneczka z nad Sanu.

Kochana Malino z Siedlec. Napisz mi co o sobie, gdyż mi to zajmuje. Jesteśmy prawie w równym wieku i dla tego chcemy żebyśmy do siebie pisywały. Niezapominaj o Niezapominajce z nad Wisły.

Droga Czarnulko. Znam ciebie, na imię ci Helenka masz dwóch braciszków. Zgadnij kto jestem. Twoja kochająca Poziomeczka z pod Wawelu.

Kochana Bławatko z nad Horynia. Donoszę ci, że mi na imię Hela, mam lat 12, chodzę do szkoły. Bardzo czytam i piszę czasami wierszyki, ale takie piękne, że redakcyja nigdy nie drukuje. Jestem bardzo czarna i dlatego wybrałam sobie pseudonym Czarnulka.

Droga Wierzbo z nad Wisły. Poziomko kujawska i Gwiazdka morska! Ciągłe choruję na zapalenie oczu, więc dlatego tak długo milczałam. Jestem jedynaczką, imię moje Manusia, mam lat 12, mieszkam niedaleko Połtawy, uczę się w domu. Załączam wam trzy całuski na zadatek naszej znajomości. Gwiazdka z malej Rusi.

Kochana Biedronko! Bardzo ci dziękuję za liścik, był to pierwszy odebrany przez Wieczory. Ja nazywam się Marylka, mam lat 8, mieszkam na wsi, mam dwóch braci i trzy siostry. Twoja Stokrotka z nad Wilgi.

Kochana Myszko biała! Chciałabym się, choć listownie, z tobą poznać. Ja nazywam się Krysia, mam lat 9. Napisz mi coś o sobie, ja więcej pisać nie mogę, bo wiesz że Wieczory dłuższego nie przyjmują liściku. Życzliwa Gwiazdeczka z nad Wilgi.

Kochany Jaguarze z nad Wisły! Znasz mnie dobrze, gdy widujemy się codzień w szkole. Jestem uczestnikiem twych tryumfów i kłopotów. Teraz, gdy ci już bliższe szczegóły o sobie powiedziałem, pewno odgadniesz kto jest twój Kominiarczyk.

Kochana Grubulko! Bardzo jesteś grzeczną dziewczynką, żeś mi odpisała, bo dosyć dawno jak pisałam do pewnej pani i jeszcze mi nie odpisała. Czy twoja siostrzyczka pisuje do „Wieczorów” i pod jakim pseudonimem? Donieś mi też gdzie mieszkasz? ja w Warszawie; uczę się na pensji a tylko na święta i wakacje wyjeżdżam na wieś. Ściskam cię serdecznie, twoja Kamelia różowa.

Kochana Polko! Ja też jestem nową korespondentką „Wieczorów”, chciałam się z tobą zapoznać chociaż listownie. Mam lat 12-ście, na imię mi Stanisława, chodzę na pensję w Krakowie, gdzie tu mieszkamy. Odpisz mi na mój list za, pomocą „Wieczorów”. Ściskam cię, twoja Rozetka.

Kochana Błada Różyczko! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, chciałabym z tobą korespondować przez Wieczory Rodzeństwa. Donieś mi jak ci imię i ile masz lat. Posyłam ci pytanie, które przyslij mi odpowiedź, twoja Czarnuszka z Mroczkowa.